Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

ROK III NR. 5 (53) | DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA | WARSZAWA, DNIA 1 CZERWCA 1934 R. | CENA 50 GR.

Dekonspiracja masonerji

W styczniu b. r. wybuchła we Francji głośna afera Stawiskiego. Pozornie nie różniła się ona od innych podobnych afer we Francji niczem więcej jak tylko wyjątkowym swym rozmiarem i zdumiewającą rozległością zasięgu. Wkrótce jednak okazało się, że afera ta nie jest zwyczajnym skandalem finansowym, lecz prawdziwym *faktem historycznym*, i to jedynym w swoim rodzaju. Z za jej kulis poczęły się wyłaniać — w miarę postępującego śledztwa — sprawy tak interesujące, że lud paryski zdenerwował się nie na żarty i z kombatantami na czele ruszył 6 lutego pod parlament, aby położyć kres potwornej korupcji i intrydze. Wówczas nożyce odezwały się. Panowie: Frot i Daladier postanowili uratować skompromitowaną partję radykałów, oraz „Franc-masonnerie" żyjącą z nią w zgodnej symbiozie — zapomocą zamachu stanu. Zamach nie powiódł się. Przyszedł rząd Doumergue'a, który pod naciskiem opinji publicznej, oburzonej do głębi odsłoniętemi machinacjami kliki skorrumpowanych dygnitarzy i parlamentarzystów, zabrał się do oczyszczenia atmosfery. Był to pierwszy etap dekonspiracji masonerji, a przynajmniej jej metod działania i jej klimatu moralnego, jeżeli jeszcze nie jej doktryn politycznych i celów.

Drugi etap rozpoczął się z chwilą zabójstwa Prince'a, które min. Sarraut nazwał otwarcie „zbrodnią mafji". Zrozumiano, że to nie żarty, że tam są ludzie zdecydowani na wszystko, ludzie, którzy mordują. Zbrodnie, kradzieże dokumentów, samobójstwa ze strachu przed mafją zaczęły się mnożyć. Histerja ogarnęła umysły. Uświadamiano sobie powoli, że mafja jest krwawą, namacalną rzeczywistością, a nie czyjemś fantastycznem przywidzeniem, że ma ona w swoich szeregach najwyżej postawione osobistości, które w obawie przed dekonspiracją gotowe są pójść na wszystko, i że w XX-tym wieku, w nowocześnie zorganizowanem społeczeństwie, nietylko jednostki, lecz władze państwowe, administracja, organy bezpieczeństwa publicznego, są — w stosunku do tego niewidzialnego, podziemnego rządu Francji — najzupełniej bezsilne.

Od tego czasu minęły trzy miesiące, w ciągu których — jak to było do przewidzenia dla wszystkich, orjentujących się nieco w tajnych sprężynach historji — prawda nietylko nie wyszła na jaw, lecz została jeszcze głębiej pogrzebana, niż w pierwszym okresie śledztwa. Dowodzi to, że masonerja, zrazu oszołomiona, zdążyła już przyjść do równowagi, dokonać koniecznych posunięć i przegrupowań, oraz zatrzeć wszelkie ślady. Uczyniono to ze zręcznością godną podziwu, zapomocą starej techniki lóż, wypróbowanej w ciągu stuleci. Jak piszą dzienniki francuskie: zainscenizowano „nieprawdopodobną komedję", obmyślono w szczegółach „olbrzymi romans kryminalno-feljetonowy", którym otumaniono publiczność, ogłaszając jego fragmenty pod szumną nazwą „dotychczasowych wyników śledztwa", dawkując je umiejętnie podług recept nieocenionego monsieur Cherona i równie nieocenionego prefekta policji paryskiej, monsieur Bonnefoy-Siboura. Komisje parlamentarne, powołane do zbadania afery Stawiskiego i wypadków z dn. 6 lutego „nabrały wody w usta". Nikt nie zabił Prince'a i nikt nie strzelał do kombatantów na placu Zgody. Panowie: Chautemps, Dalimier, Cot, Pressard, Lescouvé, Bonnaure, Bonnet i inni, mogą być zdaje się spokojni o własne losy. Spoglądają też oni beztrosko w przyszłość i obiecują sobie powetować sowicie zaznane nieprzyjemności w przyszłej masońskiej „republique des camerades", która się pośliznęła w dn. 6 lutego, ale której budowniczowie wcale nie dali za wygraną.

Jednocześnie jednak te zgodne głosy większości prasy francuskiej, skarżącej się na brzydkie igranie władz z sumieniem i wolą zdrowego moralnie społeczeństwa, świadczą, że jest to już trzeci zkolei etap dekonspiracji masonerji. Właśnie przez to genjalne tuszowanie i unicestwianie śledztwa, dokonywane z zuchwałością i maestrją niebywałą wbrew miljonowej opinji publicznej i wbrew koniecznościom politycznym, domagającym się oczyszczenia honoru Francji przed całym światem cywilizowanym, masonerja francuska zdekonspirowała się ostatecznie, ujawniając swoją nie dającą się już ukryć potęgę, wpływowość, a tem samem swoje istnienie. Jest to fakt niezwykle doniosły, fakt historyczny, od tego momentu bowiem zaczyna się mówić o masonerji — nietylko we Francji, ale i w całej Europie — zupełnie otwarcie i bez porozumiewawczego mrugania oczyma. Odtąd już nie będą mogli: jedni pleść o masonerji niestworzone historje, niczem niepoparte i fantastycznie dowolne, drudzy zaś zaprzeczać w żywe oczy, jakoby masonerja wogóle istniała, co przedtem było na porządku dziennym. Jest to niewątpliwie bardzo pożyteczne, lepiej bowiem mieć do czynienia z przeciwnikiem, występującym twarzą w twarz do boju, niż z wrogiem, którego „wcale niema", a który mimo to całkiem namacalnie wbija nam nóż w plecy z za węgła.

Wobec powszechnej uprzednio niewiary ogółu w istnienie masonerji (i innych tajnych towarzystw) interesującem jest w jaki sposób organizacja tak liczna, potężna i wpływowa, zdołała ukryć się przed światem. Otóż przedewszystkiem konspiracja jej nie wszędzie była tak dokładna; we Francji, w Anglji, zwłaszcza zaś w Stanach Zjednoczonych A. P. wiedziano o niej tak dużo, że utaić swe istnienie byłoby dla niej niepodobnem i bezcelowem. Toteż w krajach tych publiczne zjazdy, uroczystości i wystąpienia masonerji nie były wcale rzadkością, nie mówiąc już o jawnem funkcjonowaniu instytucyj, będących powszechnie znanemi ekspozyturami tej filjacji (np. Liga Obrony Praw Człowieka). Tam gdzie masonerja zdołała istotnie zawoalować się od stóp do głowy przed okiem ogółu, dokonała tego następującemi środkami: 1) bezwzględną tajemnicą, obowiązującą wszystkich członków pod przysięgą przez całe życie, nawet wówczas gdy już z organizacji wystąpili, 2) umiejętną propagandą, specjalnie w tym celu zorganizowaną, 3) wypróbowanemi środkami zapobiegawczemi.

Nakaz tajemnicy jest w masonerji tak surowy, że mało jest ludzi, którzyby — należąc raz do organizacji — odważyli się z pod niego wyłamać. Próby takie są prawie z reguły karane śmiercią, która następuje w okolicznościach tak tajemniczych, że przyczyna jej nie zostaje nigdy wyraźnie i oficjalnie stwierdzona. System represyjny jest bezlitosny i świetnie zorganizowany. Przechodzi zaś przez masonerję bardzo wielu ludzi z najwyższych warstw społeczeństwa, gdyż organizacja ta ma zwyczaj wciągać do siebie wszystkich zdolnych, wpływowych i wyróżniających się czemkolwiek ludzi już za młodu, w okresie lekkomyślności, wrażliwości na tajemniczość atmosfery i akcesorjów, i łatwego zapału dla wzniosłych, ogólnoludzkich haseł o zabarwieniu wolnomyślnie - radykalnem. W ten sposób obejmuje ona bardzo szerokie kręgi i zapewnia sobie milczenie osób, które — otrzeźwiawszy — przestają być czynnymi członkami, lub nawet całkiem z organizacji występują.

Propaganda maskująca polega przedewszystkiem na ośmieszaniu wszystkich, którzy twierdzą, że masonerja istnieje, jako niepostępowych, zacofanych, fantastów, a także na głoszeniu, że „straszak masoński" został wymyślony przez księży i partje prawicowe dla obałamucania tłumów i gromadzenia ich pod swemi sztandarami. Wytwarza się w ten sposób sprytnie zasuggerowane mniemanie, że w istnienie masonerji wierzyć mogą tylko ludzie ciemni i naiwni. (Podobnie żydzi potrafili utożsamić swoją sprawę z pojęciem nowoczesności i postępu. tak że każdy kto ośmieli się ich zaatakować, podpada przez to odrazu pod kategorję zacofańca i wroga postępu, anty-humanitarysty). Przyczyniły się do tego same stronnictwa klerykalne i narodowe, prowadziły bowiem naogół walkę przeciwko masonerji środkami nader prymitywnemi i odstręczającemi poważnie myślących ludzi.

Co do środków zapobiegawczych, to ma ich masonerja bardzo wiele w swoim repertuarze. Do najczęściej używanych należy trick znany pod popularną nazwą: „łapaj złodzieja!": okrzykuje się mianowicie człowieka o nastawieniu antymasońskiem — *masonem*, aby uniemożliwić mu zgóry jakąkolwiek akcję przeciwko sobie przez odebranie kredytu jego słowom (w operacji takiej posługuje się masonerja zwykle dla niepoznaki ludźmi z innych, nawet wrogich sobie obozów, którzy świadomie, lub z głupoty dadzą się użyć). Z innych środków wyliczyć trzeba: anonimowe ostrzeżenia, odebranie źródeł zarobkowania, okrężne represje (policyjne, administracyjne i t. p.), kalumnja (exemplum: Stanisław Brzozowski), szpital warjatów i wiele innych.

Oto w jaki sposób możliwym jest fakt tak zdumiewający, jak niewiara powszechna w istnienie masonerji, choć organizacja ta działa od kilkuset lat i liczy miljony członków, choć tysiące ludzi zetknęły się z masonami osobiście, i choć historja tajnych towarzystw została już naukowo opracowana w setkach studjów i dzieł, znakomicie udokumentowanych. Zdawałoby się tedy, że wobec tej wielowarstwowej konspiracji umysł ludzki pozostać musi bezsilnym, i nie dowiemy się nigdy, czem właściwie jet masonerja, kto nią kieruje i jakie są jej cele. Skoro bowiem jedyne źródło informacyj, którem są sami członkowie tej organizacji, ma usta zamknięte „na siedm pieczęci", to skądże czerpać mamy wiedzę o niej?

Jednakowoż mniemanie takie byłoby płytkie i niczem nieusprawiedliwione. Struktura organizacyjna masonerji jest wielostopniowa, t. j. polegająca na całej hierarchji wtajemniczeń, tak że każdy poszczególny jej członek, nawet należący do wyższych szczebli, nie wie właściwie nic ani o swoich przełożonych, ani o celach najwyższych stowarzyszenia; przeciwnie nawet, adepci są — co do tych celów — świadomie w błąd wprowadzani, tak że istnieje nieraz formalne przeciwieństwo między ideologją im wszczepianą, a tą, której bezwiednie służą za narzędzia. Toteż adepci masonerji są właśnie najgorszem z możliwych źródeł informacyjnych; są oni w podobnem położeniu, co żołnierz na froncie, widzący tylko kawałek horyzontu przed nosem i nie mający zielonego pojęcia o całokształcie operacyj, wypracowanym w sztabie generalnym. Adepci są tu właściwie szkółką frazeologji humanitarystycznej, dość niewinną, wskutek czego można wśród nich znaleźć niejednokrotnie ludzi nastrojonych idealistycznie, którym trudno zaprzeczyć poczciwych intencyj; ze szkółki tej dobiera się dopiero umiejętnie typy o strukturze psychicznej bliższej właściwym, integralnym masonom.

O wiele lepszem źródłem informacyj byliby ci, którzy osiągnęli wyższe stopnie wtajemniczenia, tam jednak o dekonspiracji prawie już niema mowy, gdyż zaczyna się tam „sfera mistyczna", do której docierają prawie wyłącznie ludzie o specjalnej strukturze psychicznej, konspiratorzy z urodzenia, nie mogący żyć bez tajemnicy, jak bez powietrza i uprawiający ją jako ową „Sztukę Królewską" (sztuka dla sztuki). Toteż od tego typu „ludzi podziemia" napewno niczego się nie dowiemy.

Mimoto zgłębienie tajników masonerji nie jest zbyt trudne, o ile umie się używać metody historyczno-naukowej, w połączeniu z metodą socjologiczną i psychologiczną. Istnieje bowiem mnóstwo źródeł, dokumentów przypadkowo odsłonionych, relacyj z wieków ubiegłych, wreszcie dzieł wybitnych znawców tego przedmiotu. Najwięcej cennych informacyj dostarczają nam sami masoni-uczeni, którzy mają dostęp do źródeł i w pracach swych operują niemi dość sumiennie, z tem jednem zastrzeżeniem, że starają się ukryć ciemne strony i podlewają rzecz subtelnym sosem tendencyjno-propagandowym. O ile się umie oddzielić te niepotrzebne dodatki, od właściwego przedmiotu badań, ma się tam do rozporządzenia materjał niezwykle bogaty. Umysł rozległy, historjozoficznie wyszkolony, biegły w odnajdywaniu związków przyczynowych i zdolny do rozumnej syntezy zjawisk i wniosków, będzie mógł — z pomocą tych wszystkich materjałów — wytworzyć sobie obraz masonerji dość dokładny i dość wszechstronnie rozbudowany. Tajniki przyrody są napewno znacznie trudniejsze do odczytania od tajników masonerji, a mimo to rozum nasz daje sobie z niemi radę. Jeżeli można było z jednej znalezionej kości odbudować całkowity szkielet przedpotopowego jaszczura, brontosaura czy plesiosaura, o ileż łatwiej na podstawie niezliczonych istniejących już danych odtworzyć całokształt doktryny, rozwoju, celów i środków, struktury organizacyjnej i metod działania masonerji światowej.

Teoretycznie masonerja dzieli się na: 1) polityczną i 2) spekulatywną; pierwsza zajmuje się bezpośrednią realizacją celów stowarzyszenia, przez działalność na terenie polityki międzynarodowej, wpływanie na poszczególne rządy i stronnictwa, inspirowanie i kierowanie opinji publicznej zapomocą prasy i innych środków propagandowych, organizowanie przewrotów społecznych, zamachów, walki z Kościołem i t. d.; druga zajmuje się rozwijaniem i uzupełnianiem samej doktryny wolnomularskiej, wypracowywaniem planów i fabrykowaniem nowych „ideologij", które mają być następnie lansowane i propagowane w całym świecie (zajmuje się ona też zgłębianiem różnego rodzaju nauk mistyczno - okultystycznych, oraz uprawą związanych z niemi dyscyplin kontemplatywnych). Doktryny masońskie nie mieszczą w sobie nic oryginalnego, są synkretycznym zlepkiem różnych nauk hermetycznych, starych herezyj chrześcijańskich, głównie jednak mistycyzmu Kabały i sekt muzułmańskich, zlepkiem, uzupełnionym przez doktryny encyklopedystów i współczesne utopje anarcho-syndykalistyczne. Metafizyczny ateizm, wyłączność celów doczesnych, zniszczenie wszelkich autorytetów ugruntowanych na prawie Bożem (Kościół, monarchja, prawo własności, prawo moralne wogóle i t. p.) autonomja człowieka przy równoczesnej zupełnej materjalizacji jego ideału życiowego, — oto pobieżnie wyliczone tezy masońskiego poglądu na świat. Znane hasło: „odchrześcijanić narody, usamowolnić ludy!", zmierza w praktyce do: 1) zdegenerowania nowoczesnego nacjonalizmu w neo-poganizm, 2) zrealizowania znanego systemu dyktatury proletarjatu (jako środka pomocniczego i etapu przejściowego do przyszłej jawnej dyktatury lóż). Postawa masonerji jest w zasadzie anty - racjonalistyczna; z jednakową siłą dąży ona do zniszczenia filozofji co i religji. Podszywanie się pod ideę „królestwa rozumu" w epoce Oświecenia, było tylko manewrem taktycznym w celu zidentyfikowania się z potężnym wówczas kultem wiedzy naukowej i w celu wykorzystania go do walki z fideizmem Kościoła. W metafizyce masonerja zwalczała zawsze transcendentalizm, ograniczając teren poznania do doświadczenia, przez co negowała rozum, a uznawała jedynie zmysły i rozsądek.

W Polsce masonerja nie miała nigdy wielu adeptów. Sokratyczną umysłowość polską odstręczała właśnie owa tajemniczość, mistycyzm doktryny, radykalizm haseł, cynizm ateistyczny i brutalność metod działania. Toteż w obecnej chwili masonerja polska stanowi podobno zaledwie jedną 10.000-czną cząstkę ogólnej cyfry wolnomularstwa światowego.

STANISŁAW CZERNIK

Elegja o teraźniejszości

Lepka glina i wiadra źródlanej wody:
Nie zapomina dni kołowrót studni.
Z wielkiego wiadra do codziennej rynny
Sączy się struga,
Jak instrument mierzący nie wodę lecz czyny
Spływające z człowieka na skopany glinnik.

Inna faza — wyrabianie gliny.
Myśl, jak bosa natężona noga
Szorstkim palcem chłodne ciasto bada,
Nim zagłębi w nie tęsknotę własną
I jej lepem swe światy uszczelni.
Bezkształt zmienia się w foremne kłody.
Glina z lepkiej wychodzi cegielni
Twardą cegłą przydatną dla kielni.

Nad kołowrotem cegielnianej studni
Patron kręcących się dni —
Mit.
Pan tysiącgłowy ten nie zna południ
I ani razu nie zasnął.
Jak ja zmęczony i jak ja mozolny,
Chwali me prace przy robieniu cegły,
Przy kołowrocie u studni,
Przy wypalaniu w piecu jestem biegły,
Skromny mitu mojego niewolnik.

Lecz czekam.
Bo dźwięknie, jakby godzina dwunasta,
Rzucona z otwartej formy
Na zielenią uwieńczone deski
Pierwsza miljonowa cegła,
Ostatni trud mojej serji.
I wtedy jasne rozdzwonią się normy,
Anioły wstąpią w cegielniane freski,
Przemiana nastąpi w szczegółach.
Stukiem zbudzona, jak cudem,
Dusza w niewoli uwiędła
Ku poetyckiej oddali się prerji,
Jak w zapomniany ogródek.

Będzie swobodna.
I to będzie koniec.
Mój tysiącgłowy pan od gliny grząskiej
Miast cegły włoży mi w dłonie
Złamanej wierzby gałązkę.

Ex re nowych prac Rowida

Henryk Rowid, autor cennej i cenionej „Szkoły twórczej", wydał dwie nowe prace. Z jednej zdał sprawę red. Braun w Zecie. Oto kilka wyjątków z drugiej, zatytułowanej „Rozbrojenie duchowe a nowa szkoła". (Kraków 1933. Gebethner i Wolff); wyjątki te zastąpią poniekąd recenzję:

„Wychowanie jest funkcją społeczną, polegającą na metodycznem uspołecznianiu jednostki... Ludzkość szuka dziś nowej treści i nowych form w różnych dziedzinach życia społecznego... Motorem, który silny wywiera wpływ na tworzenie się treści duchowej nowego człowieka, jest „i d e a d e m o k r a t y z a c j i". W związku z tem wyłania się „...idea p r a c y p r o d u k t y w n e j i t w ó r c z e j, jako najważniejszego źródła, z którego płyną dobra materjalne i duchowe". Taka praca ...wymaga współdziałania jednostek, zharmonizowania wysiłków mniejszych lub większych grup społecznych, i stąd wyłania się idea k o o p e r a c j i, oparta na poczuciu solidarności i sprawiedliwości. Nasuwa się pytanie w czem tkwi źródło owych trudności i przeszkód, z któremi boryka się ludzkość w swem dążeniu do stworzenia kulturalnych form współżycia narodów.

„...Najgłębsza może przyczyna... tkwi w samej naturze człowieka, w jego organizacji psychicznej, i w tej sferze dokonać się musi r o z b r o j e n i e d u c h o w e... Z tem właśnie wiąże się problemat w y c h o w a n i a nowego człowieka. Zadanie, jakie podjąć musi szkoła twórcza, polega przedewszystkiem na dokonaniu głębokich zmian w treści duchowej człowieka dzisiejszego, często pogrążonego dotąd jeszcze, pomimo wspaniałych zdobyczy kulturalnych, w głębokiem barbarzyństwie duchowem... W życiu współczesnem, którem kierują dwa czynniki: z jednej strony e g o c e n t r y z m, z drugiej k o o p e r a c j a, stanowiąc a n t y n o m j ę, ciągle ujawniają się konflikty... Uzgodnienie i przenikanie się obu czynników możliwe jest w układzie sił społecznych, opartych na s t o s u n k u w z a j e m n o ś c i, uwzględniającym potrzeby zarówno jednostki, jak i grupy w obrębie danego narodu i państwa... Nowe wychowanie wypracować musi nowe metody postępowania... któreby umożliwiły rozwój i wykształcenie nowego, wyższego zmysłu — zmysłu *kooperacji i solidarności*". Tyle cytatów.

Są ludzie, dla których „teorja a praktyka", lub na odmianę „filozofja a życie" nie stanowią dwu odmiennych aspektów tej samej rzeczywistości, ale jakieś dwie rzeczy całkiem różne, a nawet wrogie sobie i niesprzymierzalne. Z lekkiem sercem mówią, że coś „jest dobre w teorji, ale nie w praktyce", zgoła nie dostrzegając całej niedorzeczności takiego twierdzenia. To tak, jakby ktoś uznał, że wprawdzie 2 i 2 w arytmetyce = 4, lecz już do dwóch jabłek i dwóch jabłek to się zastosować nie da. Filozofję również uważa się za coś wręcz różnorodnego względem życia, gdy tymczasem jest ona, jeśli wolno wyrazić się nieco przenośnie, drogowskazem, semazjologją i kodeksem życia. Postawa taka wyraża się mniej więcej jak następuje: „Chcę zbudować wielki gmach; a to sprawa zbyt pilna i trudna, bym miał czas uczyć się budownictwa". I zwykle taki „czysto praktyczny" budowniczy zaczyna trochę wątpić o słuszności swego postępowania dopiero na pogrzebie przechodniów, którzy ze zbyt bliska przyglądali się jego inspiracjom architektonicznym.

Bo też istotnie, na szczęście (tamci powiedzą: na nieszczęście) życie samo troszczy się o to, by nas od czasu do czasu przywołać do niezbędnej konieczności... „nieżyciowego" zastanowienia się nad życiem. Może roztropniej byłoby zastanowić się bodaj na pięć minut przed ostatecznym kryzysem; cóż, kiedy znakomita większość ludzkości poczytuje, iż najściślej możemy badać naturę ognia wówczas, gdy na nas płonie ubranie.

To, co ludziom praktycznym zawsze się wydawało najklasyczniejszym przykładem rabinistycznej logomachji, mianowicie nierozstrzygnięty spór o t. zw. *Universalia*, staje dziś oto przed nami z całą swą groźną doniosłością, w postaci problematu słusznego stosunku pomiędzy *indywidualnością* a *powszechnością*, czyli konkretniej, pomiędzy jednostką a państwem, państwem a ludzkością. Spór o to obejmuje dziś cały świat. Komunizm, dyktatura, anarchizm — to wszystko błędne wiązania tego problematu. Należyty stosunek pomiędzy temi przeciwstawnemi a wzajemnie dla się niezbędnemi determinacjami, stanowi właściwie o wszystkiem; każde mylne rozwiązanie prowadzi tu do katastrofy, lub przynajmniej do długotrwałego i bolesnego zwichnięcia. Taki naprzykład komunizm, miast uzgodnić bieguny, poprostu znosi biegunowość, otrzymując w wyniku, nie słuszną relację między indywidualnością a powszechnością, lecz jakąś martwą, bezpłciową wspólność czy ogólność; ma się on do rozstrzygnięcia należytego mniej więcej tak, jak hermafrodyta do normalnego stadła.

Dla czytelników, znających pierwszą tablicę „Apodyktyki" Wrońskiego, dodam jeszcze parę rozważań. Chwila namysłu wystarczy do zrozumienia, że tu, gdzie wszystkie determinacje są wytworami autogenicznemi, mogą się one różnić między sobą tylko przez swe wyodrębnienie, czyli właśnie przez indywidualizację tych determinacyj; przez to Powszechność, nie przestając ogarniać całości, jest, *jako determinacja*, indywidualna; jest j e d n ą z determinacyj systematu. Tu mamy absolutnie samowystarczalny — bez potrzeby jakichkolwiek zastosowań ontologicznych — wywód koniecznego związku między indywidualnością a powszechnością. Powszechność bowiem zachodziłaby bez indywidualności tylko w tym wypadku, gdyby mogła być *jedyną wogóle* determinacją; ale wówczas zaniknęłyby: treść, forma, świadomość etc. etc., a nawet sama rzeczywistość. Ze swej strony, Indywidualność jest koniecznie uwarunkowana istnieniem czegoś, z czego się ona wyodrębnia, czyli właśnie istnieniem Powszechności. Proste istnienie innych indywidualności nie wystarcza, gdyż porównanie ich między sobą (aby wytyczyć odrębność każdej) możliwe jest tylko przez ogarniający je wszystkie, jednolity akt, czyli właśnie przez powszechność.

Gdyby zatem dana indywidualność zapragnęła radykalnie zerwać wszelki związek z powszechnością, czyli ubezprzedmiotowić wszelkie porównanie, musiałaby dążyć do tego dwiema tylko drogami, stanowiącemi wgruncie jedną, a mianowicie: a) albo przez zniszczenie siebie samej: b) albo przez zniszczenie wszystkiego poza sobą; lecz gdyby się to absurdalne przedsięwzięcie powiodło, dana indywidualność eo ipso przeistoczyłaby się w powszechność, która znowuż, wskutek braku koniecznej indywidualności, stałaby się *jedyną wogóle* determinacją, czyli rozpłynęłaby się w nierzeczywistość. I przeciwnie: im ściślejszy związek z powszechnością, tem swobodniejszy dopływ Autotezji do Autogenji, tem trwalsza indywidualizacja.

Na odcinku wychowania, dr. Henryk Rowid z wielką przenikliwością ujmuje ten najważniejszy dziś problemat.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski.

Włodzimierz Żuławski

(zm. dn. 22 lutego 1934 r.)

Prócz tego, że odbyli razem krótką służbę wojskową w garnizonie krakowskim, nie wiele wiem o stosunkach Żuławskiego z Wyspiańskim. Nie wiem nawet, w jakiej chwili gromadzić zaczął swoje zbiory. To wiem, że gdy się pomiędzy nami w r. 1913 zawiązała korespondencja, był już tem, czem pozostał: człowiekiem, który żyje jakby w olśnieniu na myśl, że świadkiem był czegoś, na co wieków będzie potrzeba, by się znów mogło wydarzyć — i by tego tak samo nie dostrzeżono. „Nie każdy duch ma kolana, by przed Wyspiańskim uklęknąć", pisze w jednym z listów a jak sam klęczał, mówi inne zdanie, które go maluje całego: „A tylko Ich dwu dla mnie było, jest i będzie zawsze — kiedy wylatuję ponad obmierzłość naszej przypadkowości — kiedy nie mogę usnąć — snu wszystkich wieków zbiegłych oddech słyszę; dwu Ich widzę pod otchłaniami niebios — lirników wielkich, idących przez świat: Chrystusa, którego serce jest jako kwiatków polnych i owieczki tkliwość i dobroć — niezmierna — i Jego, którego, ach, moje oczy kochały niegdyś żywym aniołem wśród tłumu ziemskiego..."

W tym tonie jest kilkadziesiąt listów a ciekawem jest, że pisał je krakowianin i syn d-ra Żuławskiego.

*

Ojciec ś. p. Włodzimierza był lekarzem psychjatrą. Posiadał znaną lecznicę dla nerwowo i umysłowo chorych. „U Żuławskiego" znaczyło tyle, co u warjatów. W tych czasach, gdy w Krakowie Polska Matejki i Szujskiego gotowała się już zmartwychwstać Polska Boya, kto tylko stał się szczególniej *indesirable* w „Czasie" i jego nocnej ekspozyturze „Baloniku" — wędrował, w zręcznie rozsiewanych pogłoskach, do Żuławskiego. Znaleźli się tam Lutosławski i Malczewski; znalazł i podpisany. Znalazł się także we wrześniu 1905 r., a na prawdę, niestety, Wyspiański. Co za pożądane zdarzenie dla wszystkiego, co już wtedy tak go nienawidziło, jak dziś pp. Czyżewski, czy Zawodziński. Trzeba było widzieć pobożne ukontentowane miny: „A widzicie, mówiliśmy". Rzecz stała się tak. Leczył go zięć Żuławskiego, dr. Jankowski. Gdy choroba przybrała groźne rozmiary i okazała się konieczność natychmiastowego przewiezienia do sanatorjum — Jankowski przewiózł, gdzie było najbliżej, do teścia. Stało się może dobrze, bo dr. Żuławski użył środków, o których prawdopodobnie nie byliby pomyśleli specjaliści, co o dwa lata przedłużyło życie. Innym rezultatem tych dni było uwielbienie lekarza dla pacjenta, czemu dał wyraz w szczegółowych o tym pobycie zapiskach, a u syna — wzmożenie się kultu, któremu się miał oddać zupełnie.

Te dni „u Żuławskiego", to te objęte datami „27 września" i „14 listopada" w raptularzu, tym raptularzu, który, gdy się go umie czytać, jest może w swej oschłości, najpiękniejszym i najbardziej wstrząsającym z dramatów Wyspiańskiego powstałych w tych latach. Zapiski d-ra Żuławskiego, które syn przechowywał, były pierwszorzędnej wagi. Ufać należy, że z nich — ze źle zrozumianego pietyzmu — niczego nie zniszczył. Pouczyćby mogły kiedyś, że istnieje jeszcze inny psychanalityczny materjał, niż ten, którym się delektuje dzisiejsza naiwna empirja. A tym, co mówić sobie pozwalają o „typowo luetycznym koncepcjonaliźmie", może by się oczy otwarły n. p. na kontrast tych lat ostatnich, z ostatniemi, także dziesięciu latami, życia Nietschego.

*

Żuławski nie dlatego kochał Wyspiańskiego, że zbierał jego obrazy i rękopisy, ale odwrotnie. I dlatego drogi był „Cioci" Stankiewiczowej.

Sprostowano już niejedną datę zbiorowego wydania. Wśród nich i datę przejścia „Stasia" pod opiekę Stankiewiczów. Nie nastąpiło to w szóstym roku życia i zaraz po śmierci matki, ale w dwunastym a na pięć lat po jej zgonie[1]). Nie jest to bez znaczenia, bo te lata to te spędzone w „domu Długosza", w pracowni ojca, ale nie zmniejsza się przez to rola, jaką w życiu siostrzeńca odegrała p. Stankiewiczowa. I mogą sobie wywąchiwacze *odoris feminae* oszczędzić trudu. Była w tej egzystencji niejedna kobieta; nie było żadnej — prócz tej jednej — któraby *indywidualnie* zaważyła w tej twórczości. Już dzisiaj ta matka, gdy się zna pamiętnik — prostotą swą w cień nieco usuwa inną, bardziej koturnową. Czuwała nad dzieciństwem i pierwszą młodością tego, który jej miał do zawdzięczenia te lata szczęśliwe — i czuwała nad jego końcem. To, co uratowała w tych czasach — autografów, rysunków — przeszło do Żuławskiego.

Te całopalenia Wyspiański uprawiał przez całe życie, jeszcze od czasów paryskich. Śmiało można twierdzić, że tyle conajmniej, ile się ich przechowało, dzieł malarza i poety — poszło do pieca. Był w tem trudny do zadowolenia autokrytycyzm, ale była i świadomość, że tamto — wystarcza. Szanując wolę, byłoby się usunęło rzeczy niepotrzebne i oszczędziło „badaczom" zapuszczania się na niejeden trop błędny, ale niepaląc wbrew rozkazowi inne — „dyskretnie je schowawszy, jak w 63-cim chłopaczków, pod spódnicę" ocalało się także arcydzieła. Tych rzeczy najintymniejszych, które zewsząd umiał wygrzebywać — było u Żuławskiego pełno.

*

Zrozumiał to *jedyne* znaczenie tych zbiorów Przybyszewski, pisząc swą przedmowę do „Dzieł malarskich W-go" (Inst. Wyd. „Bibljoteka Polska", 1925), przedmowę bardzo ciekawą, a której tylko zakończenie jest bardzo niemądre. Zachwyca się tam szczególniej „ilustracjami" do *Serres chaudes* Maeterlincka (co mi przypomina zachwyty Bourdelle'a nad ilustracjami do Iljady) a także Zielnikiem, t. j. kilkudziesięciu kartami „z cudownemi rysunkami naszych polnych kwiatów, rysowanemi ze ścisłością najsumienniejszego profesora botaniki", a stanowiącemi równocześnie materjał dla ich stylizacji w witrażach i polichromji („kwiaty nad kwiaty" nazywał ś. p. Włodzimierz kwiaty W-go). „Żuławski — pisze Przybyszewski — uratować zdołał od zupełnej zagłady i zaginięcia rzeczy, które dla przyszłych badaczy staną się nietylko kopalnią złota, ale najbogatszych djamentów"....

Był w Krakowie podobny warjat, który zbierał mniej inteligentnie, bo na wszystkie rozpraszając się strony, ale tak samo od ust sobie odejmując dosłownie i tak samo z myślą „by to uratować dla narodu". Jeśli na 554 pozycji dzieł malarskich i t. d. W-go, które wymienia Katalog Swierza, Krakowskie Muzeum Narodowe posiada około 80, t. j. *tyle, ile ich w tymże katalogu figuruje, jako własność Włodzimierza Żuławskiego*, zawdzięcza to w całej jednej połowie Feliksowi Jasieńskiemu, podczas gdy główne dzieła drugiej są darem samego Autora. I jest dziś zupełnie w porządku, jeśli zaczynają rozpraszać się zbiory, które wraz z tamtemi stworzyćby mogły złudzenie, że ojczyste miasto miało kiedykolwiek dla swego syna coś więcej, jak żal udany i nieudaną nienawiść.

*

Szczególny zbieracz i szczególne te listy, które zdają się pochodzić już nie z innej epoki, ale z innej planety.

O nowe nabytki coraz trudniej, bo i życie się staje coraz trudniejsze i trzeba płacić długi — za drugich. Ale są jeszcze dobre chwile. „Czy Pan się domyśla, com zdołał wydobyć? Przed tygodniem zaledwo! A już parchy sieć zastawiały na ten klejnot. Oto dwu dziewcząteк główki — *dwa światy* — jak żona mówi: jedna Marja, druga Anna — pod niemi te jego słowa:

> Dwie ich spotkałem
> a takie były urocze, cudne,

(i cały wiersz później ogłoszony w wydaniu zbiorowem, T. VII, str. 354). Ta, która żonie przypomina Annę ma kwiat lilji we włosach, u skroni; spadają w lokach. Piękność to, co może nęcić, ale usta nie mają nic do powiedzenia. Świat takich daje wiele i o każdej się zapomina, jak o wiosnach minionych. Ale ta druga — to jest świat W-go — z tą wszystką grozą i zagadkowością, z którą ma do czynienia widzący genjusz wszechświata".

Ale w tym samym liście... donosi, usprawiedliwia się, że się rozstał z innem dziełem — o ileż ważniejszem i jemu droższem! — z autoportretem paryskim z r. 1894. Dał go córce. „Ale ona ma takie oczy (z młodości W-go), żem jej odmówić nie mógł. Musiałem. Jej się więcej należało, niż mnie. Dziś ona ma Adasia i Krysię — jedyne jego wnuki. Przed tygodniem tę Krysię całowałem — po raz pierwszy i z niedającem się opisać wzruszeniem. Wziąłem ją za rączkę i trafiłem na tętno i miałem wrażenie, że to jest zegareczek nakręcony przez Wyspiańskiego..." I coraz częściej w tych listach — wśród tych zbiorów, na które się gapią i których mu zazdroszczą inni — u niego skarga, że sobie „we własnym domu beznadziejne Campo Santo zgotował" i tęsknota za tym — ciągle przytomnym, a po którego odejściu pozostaje równie niepocieszony, jak onego listopadowego wieczora. Choć umrzeć a losu tych pamiątek nie zapewnić; choć umrzeć, a nic o Nim nie powiedzieć — wydaje mu się okropne.

*

Był Żuławski niewyczerpaną skarbnicą wiadomości o Wyspiańskim. Jak kto zajmował się twórczością autora wawelskich witraży, nie mógł nie znać jego zbiorów[2]), tak kto zajmował się życiem — nie mógł się obejść bez Żuławskiego. Sam — o ileż więcej poeta, niż jego stryjeczny brat Jerzy — pisać nie cierpiał, zawsze niezadowolony z tego, co mu z pod pióra wydzierały okoliczności. (Ogłaszał najczęściej w „Czasie" i tam obok wielu komentarzy do Listów, dał fejletony o „książkach, które W-i czytał z ołówkiem w ręku", tem ważne szczególniej, że współudział W-go w polichromji marjackiej ustalają, jako wcale nie rzemieślniczego wykonawcy, ale w całem słowa znaczeniu *współpracownika* Matejki). Pisał mało, gotów zawsze pomagać drugim. To też szło do niego wszystko. Ileż rozpraw, artykułów, przyczynków, do których materjału dostarczył — odpisując na dziesiątki listów, pożyczając autografy i fotografje, które zapomniano oddawać, trawiąc na tych posługach czas wolny od biurowych zajęć i ciągle w ten sposób odrywany od pracy nad Listami.

A wymagania, jako wydawca, stawiał sobie niemal nieziszczalne. Te listy, w których — w paryskich zwłaszcza — pełno wzmianek o dziełach sztuki, pełno alluzji do ówczesnych obrazów i książek — on chciał, żeby były wyjaśnione w każdym szczególe, od detalów francuskich katedr do fabuły niewymienionych z tytułu powieści. Ileż listów pisanych do p. Delahache, dyrektora archiwum m. Strasburga, zanim jakiś zagadkowy Gros okazał się Filipem Grassem, rzeźbiarzem alzackim, którego niefortunne posągi zastąpiły na fasadzie katedry dawne, przez rewolucję francuską strącone. Ale żadne poszukiwania nie pozwoliły wykryć, skąd się wzięli tajemniczy Melimiris i Loribelis, których imionami Wyspiański i Kaź. Brudżewski podpisywali swą korespondencję! Tak przez lata całe, w kraju i zagranicą, Żuławski szukał wszędzie, gdzie tylko myśl i kroki tamte się zatrzymały na chwilę — z trwogą przedewszystkiem myśląc o swoich „Wstępach", mających się stać tą po dziś dzień nieistniejącą Biografją, którą mógł dać on jeden. Ale im bezczelniej i bezmyślniej rozpisywali się inni, jemu było potrzeba coraz prostszego i cichszego słowa.

*

Słyszał je przecie — to słowo — tak wyraźnie.

Pisze ze wsi w jednym z listów: „Ja niczego tu, co o W-im piszą — nie czytam. Czytam tylko Wyspiańskiego, między jedną Jego książka, a drugą przypatrując się kwiatom polnym, których widokiem On się tak niewysłownie pieścił — gdyśmy w austrjackich mundurach niebieskich leżeli na łące razem. Tak tylko jeden Chrystus przypatrywał się liljom polnym... — Niechcę już niczego słyszeć i niczego o Nim wiedzieć — gdym widział na tej łące Jego oczy. Niech pióra ludzkie piszą o Nim, co chcą, — ja się już wszystkiego dowiedziałem wprzódy i niczego już nie jestem ciekaw, bo wszystko co mi potrzeba, abym Go mógł umiłować — jest we mnie i „w krwi mojej płynie żywe".

A w innym, również ze wsi: „Chciałbym zapomnieć o świecie, na który razem z całą ciżbą ludzką patrzę, zapomnieć o wszystkiej spraw tego światka nudzie i powszedniości... i w najbliższą noc, choć lipcowa i malinami pachnie, znaleźć się w teatrze Stanisława Augusta, choćby mrozem struchlały, jak ten jaśminu uprzątek... te na listopadzie róże powiędłe, znaleźć się i istnieć razem z tymi bez krwi już dla Ojczyzny białymi, z przewoźnikiem i jego łodzią, w tym najcudniejszym zaświecie, kędy myśl polskiego piękna zawędrowała dotychczas kiedykolwiek".

I tam znalazł słowo najprostsze i najcichsze, którego szukał, by go już nie powtórzyć.

A. Ł. C.

[1]) Porówn. M. Waśkowska - Kreinerowa: Na marginesie życiorysu St. W-go. Kraków 1933.

[2]) Szkice powstałe w związku z wawelskimi kartonami, a których był właścicielem, Żuławski omówił w często cytowanym artykule „Masek", ogłoszonym także w przekładzie czeskim.

STANISŁAW CZERNIK

Elegja o przeszłości

Głowo oddarta od ramion,
Straszliwego archanioła głowo!
Głowo uwiędła w zapomnianym okopie,
Pełnym łopianu i pokrzyw,
Żołnierska, archanielska głowo!

W twych kędzierzawych włosach
Kwitną bławaty.
Z bagnetu utkwionego w czole
Zielona wyrasta sosenka.
Z gnijących oczu
Ciemne zrywają się szpaki
Razporaz,
Jak strzały karabinowe,
Ciemne, świszczące ptaszki
Beztrosko biegnące w bór.
W nozdrzach, jak w źródle,
W najczystszą wodę zmieniona
Brunatna krew,
W okrutnem zapomnieniu
Tęskni do ciepłego, słońcem nagrzanego dzbana.
W ustach otwartych
Rozbity język, jak strzaskane wiosło,
Najbielszym kwitnie nenufarem,
Lilją dla głodnych Derwidów.

W okopie pełnym łopianu i pokrzyw
Trupia głowa archanielska.
Smutne jest słowo,
Słowem jak młotem nie można uderzyć
W czaszkę widmową.

Z widmowej czaszki tylko widma rosną
Bławatem,
Zieloną sosną.
Widmowe wylatują szpaki,
Widmowe biorą wodę dzbany,
Widmowe sycą głód nenufary.

Smutne jest słowo.
Słowem jak młotem nie można uderzyć
W czaszkę widmową.

Krytyka rozumu twórczego (4)

Łatwo teraz pojąć, że aby określić bliżej. cele i środki postaciowania, wystarczy poprostu zanalizować akt woli twórczej (natężności transcendentalnej) oraz akt poznawania (roztężności logicznej), dla wydobycia z każdego z nich zespołu władz, jakie są w nim zatrudnione; obydwa one współdziałają bowiem w procesie twórczym, stanowiącym rozpatrywany przez nas przedmiot estetyki. Jasnem jest przytem, że akty intenzywności transcendentalnej będą stanami podmiotu tworzącego, kolejno przezeń — wczasie procesu twórczego — w sobie samym ustanawianemi, zaś akty ekstenzywności logicznej, będą to adekwatne wyobrażenia tych stanów, uformowane nazewnątrz podmiotu, dla porównania ich, w tym oglądzie, z przedmiotowością absolutną ,którą on usiłuje sobie skonstruować. Właściwe postaciowanie (sztuczne), będące obecnie naszym najważniejszym problematem, zachodzi więc w akcie poznawania estetycznego, t. j. w konstruowaniu Formy Czystej. Materjału do tego postaciowania dostarczają te władze psychologiczne naszego Ja, które najbezpośredniej biorą udział w procesie formowania. Struktura wnętrzna aktu poznawania estetycznego stanowi analogon struktury wnętrznej czystego aktu tworczego, winna więc mieścić w sobie cztery składniki podstawowe, podobne do tamtych: warunkujący, warunek, warunkowe i warunkowane. Taksamo wyglądać będzie architektonika aktu woli estetycznej.

Podmiotem tworzącym jest w akcie poznawania estetycznego sam rozum spekulatywny czysty, w swem dążeniu od względności do absolutu; jego Treść Czystą ustanawiać będzie transcendentalna władza sądzenia (Urteilskraft); jego Formę Czystą konstruuje rozsądek; wreszcie tworzywa dostarcza zmysłowość. Jest to szemat abstrakcyjny warunków genetycznych Formy Czystej, który w następstwie wzbogaci się przez rozbudowę zespołu władz pochodnych, których czynności będą ucieleśnieniem tego nagiego szkieletu postaciowania. Ważnem jest dodać, że problemem i ideałem najwyższym tej ekstenzywności formalnej, jaką pragnie nadać dziełu tworzonemu akt poznawania estetycznego, jest forma absolutna istnienia, zjawiona w rozumie spekulatywnym pod postacią systematu idej transcendentnych: zupełnego podmiotu (Człowiek), zupełnego szeregu warunków (Świat) i zupełnego ogółu możliwosci (Bóg). Szczególnie ważną dla przyszłego rozbioru genetyki procesu twórczego jest idea zupełnego szeregu warunków, jako idea całostki absolutnej, odpowiadającej dziełu tworzonemu. Wyjaśnię na innem miejscu, że autonomiczność czasu i przestrzeni w procesie twórczym możliwa jest dzięki temu, iż każde dzieło sztuki ma w sobie intymną tendencję do wyobrażenia całego świata, w jego osobności i jedynosci. W ten sposób artysta pretendowałby niejako w mikroskopijnym wymiarze, do intuitywnego odtworzenia procesu tworzenia świata przez Boga.

W akcie woli estetycznej podmiotem tworzącym jest sam rozum praktyczny czysty, dążący od życia fizycznego do życia hyperfizycznego, samostwórczego; jego treść czystą ustanawiać tam będzie *samorzutność twórcza* (duch), jego formę czystą *autonomja* woli, działającej jedynie ze względu na imperatywną powinność tworzenia, zaś tworzywa dostarczać będzie *heteronomja* woli, czerpiąca motywy czynności ze sfery pobudek zewnętrznych, przypadkowych i z dążności do zaspokojenia swoich osobistych pragnień (rozkosz, przyjemność, zadowolenie, szczęśliwość). Również i ten szemat abstrakcyjny warunków genetycznych Treści Czystej, wzbogaci się przez rozwinięcie systemu władz pochodnych. Zaznaczam też, że problematem i ideałem najwyższym intenzywności transcendentalnej podmiotu tworzącego jest osiągnięcie pełni potęgi samookreślnej (samorzutności stwórczej) rozumu twórczego, jaką stanowić może tylko moc stwarzania samego siebie (samostwarzania).

Spróbujmy teraz rozbudować szerzej układ architektoniczny władz naszego Ja, zatrudnionych podczas aktu poznawania estetycznego (t. j. we właściwym procesie postaciowania) i wewnątrz aktu woli estetycznej (t. j. w wytwarzaniu motywów i impulsów postaciowania, będących stanami podmiotowemi twórcy, domagającemi się wyrazu w dziele tworzonem). Otóż punktem wyjścia całego układu władz w akcie poznawania estetycznego jest dążność samopoznającego się rozumu twórcy od formy względnej do formy absolutnej istnienia, przyczem formą względną jest ta, którą jest on w stanie nadać dziełu tworzonemu w obecnem stadjum swej potencjalności twórczej, t. j. przy użyciu władz i narzędzi konstrukcyjnych, któremi rozporządza przystępując do tworzenia — zaś formą absolutną jest ta, którą chciałby on osiągnąć w zenicie swej potencjalności twórczej, a mianowicie w sferze transcendencji czystej. Tu oto jest problemat najwyższy Formy Czystej, której ideał implikuje — powiedzmy to bez ogródek — *proces tworzenia świata,* jako zupełnej totalności możliwych postaci istnienia, czyli doskonałego maksimum upostaciowań treści podmiotu tworzącego. Proces tworzenia świata jako dorównanej kreacji podmiotu tworzącego implikuje zkolei pojęcie Człowieka homogenicznego z Bogiem („na obraz i podobieństwo Boże"). Widzimy więc, że w każdem kształtowaniu formy artystycznej współdziała — w sposób ukryty — cały systemat idej transcendentnych (Bóg — Świat — Człowiek), na które natrafiał podmiot spekulujący od niepamiętnych czasów, a które udało się Kantowi wyznaczyć w ich wzajemnem ustosunkowaniu i ustalić jako wytwory graniczne czystego spekulatywnego rozumu. Dla orjentacji zaznaczam tu odrazu, że ten systemat idej transcendentnych ma swój odpowiednik in concreto w całej strukturze wnętrznej rozumu praktycznego, in abstracto zaś w idei *samostwarzania,* będącej zkolei problematem najwyższym tej drugiej postaci rozumu twórczego. Znaczy to, że problematem zawartym w samem jądrze aktu poznawania estetycznego jest w istocie nie co innego, jak sam akt woli estetycznej, co nam odsłania przedziwną organiczność i autotelję (= celowość własną) wnętrznej budowy aktu twórczego.

Rozbudowaliśmy więc już narazie pierwszy z czterech podstawowych elementów aktu poznawania estetycznego, a mianowicie podmiot *warunkujący* procesu postaciowania, odkrywając w nim, przez analizę genetyczną, sam problemat najwyższy Formy Czystej, jako najdoskonalszej ekstenzywności logicznej rozumu twórczego. Abstrakcyjna idea Formy Czystej, którą zdefinjowaliśmy uprzednio jako utożsamienie istoty rozumu twórczego z jej wyrazem w dziele tworzonem, została już dzięki powyższej analizie genetycznej, w pewnej mierze skonkretyzowana. Rozumiemy teraz, na czem polega możliwość *porównania* danego, poszczególnego zjawu przedmiotowości absolutnej (czyli danej, gotowej już konstrukcji formalnej dzieła) z jej ideałem. zawartym w pojemności na Tajemnicę Istnienia; pojemność tę stanowi właśnie owa forma absolutna istnienia (Bóg — Świat — Człowiek, czyli: człowiek tworzący świat na podobieństwo Boga), znajdująca się a priori jako ideał i problemat w twórcy dokonującym aktów postaciowania.

Spróbujmy teraz określić bliżej drugi z elementów podstawowych aktu poznawania estetycznego, a mianowicie ten, który stanowi *warunek,* treść czystą tego aktu; jest nim — jak już zaznaczyłem — transcendentalna Władza Sądzenia. Jest to władza szczególnej wagi, uczestniczy on)a bowiem jednocześnie w rozumie spekulatywnym i w rozumie praktycznym, co dowodzi jej pochodzenia z poza obydwu tych układów władz, zatrudnionych w akcie poznawania estetycznego i w akcie woli estetycznej. Istotnie, wiąże ona bezpośrednio rozum spekulatywny z samym rozumem teleologicznym, o którym mówiłem wyżej, że powstaje ze suprarzeczywistego ustosunkowania podmiotu absolutnego z przedmiotem absolutnym, czyli z samych elementów wnętrznych nieskończoności absolutnej, wiedzy samej w sobie (Savoir-en-soi-même). Władza sądzenia jest więc tą, która odnosi ustawicznie cały proces postaciowania do jego najwyższej racji bytu, *znajdującej się poza nim,* a mianowicie do tej dążności podstawowej, w której podmiot usiłuje dokonać transfiguracji aktu twórczego w czysty akt stwarzania. Władza sądzenia pamięta więc niejako o tem, co mogłoby zostać przeoczone przez podmiot zatrudniony konstruowaniem samej tylko Formy Czystej; pamięta, że Forma Czysta, wzięta nawet w swej doskonałości zupełnej, jest tylko środkiem do celu, a nie celem samym w sobie, — że mianowicie stanowi ona nietylko współodpowiednik Treści Czystej podmiotu tworzącego, lecz także jedno z narzędzi procesu twórczego, jako sposobu ujmowania się suprarzeczywistej „wiedzy samej w sobie" w jej poszukiwanej przedmiotowości absolutnej. Łatwo będzie z tego wywnioskować, że władza sądzenia służyć ma do oceny dzieł tworzonych pod kątem *celowości absolutnej,* dzielącej się zkolei na celowość subjektywną, oceniającą stany intenzywne i motywy woli twórczej, czyli walor teleologiczny podmiotowy, oraz celowość objektywną, oceniającą konstrukcje formalne aktów postaciowania, czyli walor teleologiczny przedmiotowy. Idzie tu poprostu o rację bytu tych motywów podmiotowych, mających stanowić treść czystą dzieła, oraz określeń przedmiotowych, składających się na formę czystą dzieła — z punktu widzenia owej suprarzeczywistej celowości Sztuki, o której mówiliśmy, że ma dokonać zamiany konieczności w wolność, czyli absolutnej autonomizacji aktu stwórczego. Nietrudno teraz chyba będzie rozpoznać w tej celowości wspartej o zasadę racji bytu dwa sądy podstawowe transcendentalnej władzy sądzenia: smak estetyczny (ze względu na podmiot: treść czystą rozumu absolutnego, *stwarzanie)* i sąd teleologiczny (ze względu na przedmiot: formę czystą rozumu absolutnego, *wytwarzanie).* Finalizm ten, subjektywny i objektywny, da się sprowadzić do adekwatnych idej: Piękna i Ładu, mieszczących w sobie in nuce pojęcie Sztuki, czyli celowego następstwa aktów stwórczych (samowytworzenie się wiedzy) oraz pojęcie Organizacji, czyli koordynacji wiążącej i uwspółzależniającej procesów wytwórczych, będących właściwemi elementami dzieła tworzonego (samozakładanie się wiedzy w bycie).

Zobaczmy teraz, czy zapomocą analizy genetycznej, (która dała nam tak piękne wyniki przy rozpatrywaniu istoty samego podmiotu spekulatywnego, w postaci odkrycia ideału Formy Czystej) nie uda się nam rozpoznać nowej władzy, zawartej in nuce w zbadanej powyżej transcendentalnej władzy sądzenia. Otóż, wydaje się oczywistem, że władza sądzenia — pełniąc tak wysoką funkcję odnoszenia wszelkich motywów podmiotowych i konstrukcyj przedmiotowych postaciowania estetycznego do owej transcendentnej racji bytu — powinna zdążać do wytworzenia narzędzia, któreby z natury swej było doskonale podatnem: 1) do uzgadniania celowości subjektywnej z objektywną, czyli aktów stwórczych naszej samowiedzy z jej upostaciowaniami w bycie, 2) do bezpośredniego wyrażania treści czystego rozumu spekulatywnego, jako władzy produkowania *myśli wogóle,* 3) do najpełniejszej inteligibilizacji i najgiętszej reprezentacji samej owej zasady transcendentnej racji bytu, będącej zjawem nieskończoności absolutnej twórczego rozumu. Otóż narzędzie to istnieje rzeczywiście i jest w samej rzeczy najsubtelniejszą i najwszechstronniejszą z władz zatrudnionych w procesie postaciowania. Jest niem Język, najczystsza hypostaza zasady *wyrazu* estetycznego w całej sferze ekstenzywności logicznej.

Władza sądzenia i język warunkują się wzajemnie. O ile bowiem transcendentalna władza sądzenia — będąca współustosunkowaniem naszej samowiedzy i naszej władzy wyobrażania (przedstawiania) — musi wprzód istnieć, aby mogła w niej powstać potrzeba tego adekwatnego narzędzia wyrazu jej treści, jakiem jest język, o tyle znowuż język jest warunkiem samej aktywności władzy sądzenia; formą jej jest bowiem rozwaga, *refleksja* (odbicie się wiedzy na samej sobie oraz odnoszenie bytu do wiedzy), ta zaś powstaje przez dołączanie przedstawień objektywnych do subjektywnej samowiedzy. Otóż dołączanie to, możliwe dzięki harmonijnej współodpowiedniości, jaką władza ta umie wytworzyć między pojęciami a oglądami, — odbywa się zapomocą języka. Słowa (wyrazy) są spontanicznemi kreacjami jaźni, wsuwanemi przez nią pomiędzy myśl a rzeczy. Specyficzne te, jedyne w swoim rodzaju wytwory, posiadają tę przedziwną właściwość, że identyfikują w sobie podmiotowy akt stwórczy (samowytworzenie się wiedzy) i ogląd przedmiotowy, proces wytwórczy (samozałożenie się wiedzy w bycie). Są one naszemi własnemi, autonomicznemi kreacjami, nie mającemi absolutnie żadnego odpowiednika poza człowiekiem, podmiotem myślącym, a mimo to zdolne są reprezentować w stosunku do nas przedmioty zewnętrzne (zjawiska w czasie i objekty w przestrzeni), pełnić funkcję zastępczą przedmiotowości bytu. Gdyby nie słowa (wyrazy) i ich konstrukcje architektoniczne (zdania) tworzone dla wyrażenia skomplikowanych aktów myśli, nie mieszczących się w pojedyńczych słowach, — myśl wogóle nie przyszłaby do pojawu w warunkach naszego obecnego bytu, a temsamem podmiot nie miałby możności ujmowania się jako przedmiot.

Skoro już określiliśmy w przybliżeniu władzę sądzenia, dostarczającą aktowi poznawania estetycznego jego treści czystej, oraz język, stanowiący najdoskonalszy organ jej aktywności transcendentalnej, spróbujmy zanalizować trzeci z rzędu współczynnik owego aktu, jego element *warunkowy,* a mianowicie Rozsądek. Władza ta przenosi nas już całkowicie w sferę doświadczenia estetycznego, czyli bezpośredniego postaciowania danego, pojedyńczego dzieła. O ile transcendentalna władza sądzenia ocenia wartość procesu twórczego pod kątem jego suprarzeczywistej racji bytu, pośrednicząc zarazem między sferą doświadczenia estetycznego a sferą transcendencji estetycznej (w której mieści się ideał Formy Czystej), o tyle rozsądek zajęty jest wyłącznie danym, indywidualnym procesem wytwórczym, mającym przyoblec koncepcję artystyczną w gotową, ustaloną formę, czyli wytworzyć *fakt estetyczny.* Zadaniem rozsądku jest związać elementy tworzonego dzieła w konstrukcję formalną, wprowadzić jedność do wielości, zorganizować materjał wyobrażeniowy, wyprodukowany przez zmysły i wyobraźnię, zapomocą czystych pojęć ilości, jakości, stosunku, sposobowości, essencjalności i łączności. Zestrój ilości powstaje tu przez pojedyńczość (całostkę) czyli jedność w wielości, zestrój jakości przez ograniczenie czyli ciągłość przerywaną wzajemnie się ograniczających (przez następstwo w czasie i przez współbytowanie w przestrzeni) jakości zmysłowych, zestrój stosunku przez wspólność czyli przez współsubstancjalność nadaną wszystkim elementom dzieła zapomocą ich organicznego związku przyczynowego, zestroj sposobowości przez konieczność estetyczną warunkującą taki a nie inny kształt dzieła, jako istotność w jaką przyoblekła się możliwość i t. d. W ten sposób rozsądek urzeczywistnia postaciowanie sztuczne, wiążąc indywidualność bytów, czyli wytworów spontanicznych naturalnego postaciowania (zmysłów i wyobraźni odtwórczej), z powszechnością wiedzy, t. j. z jej autonomicznemi kreacjami, jakiemi są kategorje, pojęcia czyste. Rezultatem takiego zabiegu jest produkt specyficzny, który nazwijmy *przedmiotem* (albo faktem) *doświadczenia estetycznego,* powstałym przez kooperację dwu władz elementarnych: zmysłowości i rozsądku, oraz dwu władz pomocniczych: wyobraźni odtwórczej i wyobraźni konstrukcyjnej, wytwórczej.

Co do wyobraźni konstrukcyjnej, to analiza genetyczna wykaże nam z łatwością jej intymny związek z czystym rozsądkiem. Mianowicie czyste pojęcia rozsądkowe, są tylko formami apriorycznemi wszelkiego możliwego doświadczenia, konstrukcjami idealnemi, powszechnikami wiedzy. Nie mają one w sobie nic z indywidualności bytu, nic z przedmiotowego istnienia, nie będąc niczem innem, jak tylko sposobami ogarniania i porządkowania zjawisk, uzdolnieniami podmiotu (samowiedzy) do całkowania ich wielości w jednię systematyczną, w przedmiot. Dane bytu, wytwory indywidualne, produkować potrafi tylko zmysł, lub raczej ogólnie: zmysłowość. Otóż rozsądek, predestynowany a priori do symbiozy ze zmysłowością, do organizowania i podporządkowywania sobie jej wytworów, ma w sobie naturalną dążność do przerostu w nową władzę, pośredniczącą między nim a zmysłowością i ułatwiającą mu jego czynność kojarzącą. Władzą tą jest *wyobraźnia wytwórcza,* konstruująca *szematy,* będące pojęciami, ukazującemi się odrazu pod postacią oglądów zmysłowych. Ta czynność szematyzacyjna nigdzie się nie przejawia tak wyraźnie, jak w poezji, gdzie — zwłaszcza w prawdziwem napięciu twórczem, które zwą „natchnieniem" — ideje i myśli nie uświadamiają się w formach pojęciowych, lecz przeobrażają się samorzutnie w swoje szematy zastępcze, symbole, i w tej postaci dostają się w pole świadomości artysty tworzącego.

Czwartym współczynnikiem aktu poznawania estetycznego jest Zmysłowość, element *warunkowany,* pozbawiony wszelkiej aktywności świadomej i dostarczający tylko tworzywa, obrabianego następnie przez rozsądek, sub specie idej transcendentalnych Piękna i Ładu, z któremi harmonizuje znowuż konstrukcje rozsądkowe władza sądzenia, oraz pod kontrolą czystego spekulatywnego rozumu, mieszczącego w sobie ideał Formy Czystej. Tworzywem są przedewszystkiem nagie jakości zmysłowe, jak kolory, dźwięki, zapachy i t. d., zjawione i umiejscowione w czystych oglądach heteronomicznego czasu i heteronomicznej przestrzeni, następnie wszelkie wytwory postaciowania naturalnego, mogące służyć jako materjał do konstrukcji form artystycznych. Byłoby to jednakowoż ograniczeniem tworzywa artystycznego do elementów najprostszych, gdyby nie związek genetyczny zmysłowości z jeszcze jedną władzą zatrudnioną w procesie postaciowania, a mianowicie z *wyobraźnią odtwórczą.* Genetycznie wyobraźnia ta jest rezultatem organicznej symbiozy zmysłowości z rozsądkiem, zmysłowość bowiem ma walor w procesie poznawania (i postaciowania estetycznego) tylko jako dostarczająca rozsądkowi materjału (tworzywa), substratu bytowego, na którym zawiesza swoje atrybuty, określając i konstruując ten materjał zapomocą pojęć czystych; odwrotnie znowuż rozsądek ma walor w tym procesie jedynie jako czysta możebność określania i konstruowania, postawa czynna, która bez owego materjału zmysłowego nie miałaby na czem się zaktualizować). Otóż ta władza konstrukcyjna byłaby w swych możliwościach bardzo ograniczona, gdyby mogła działać tylko w bezpośredniem zetknięciu z naturalnemi oglądami zmysłowemi. Toteż wydaje się nieodzowną nowa władza, zdolna do reprodukcji (spontanicznej, lub świadomej) tych oglądów, które nie istnieją już w polu bezpośredniej percepcji zmysłowej. Jest nią właśnie wyobraźnia odtwórcza, będąca jakby zmysłowością czynną, a konstruująca wyobrażenia wtórne (obrazy) czyli zapamiętane. Bez działalności kojarzącej wyobraźni odtwórczej nie da się pomyśleć żadne mniej lub więcej złożone zjawisko w przestrzeni i czasie, rozsypałoby się ono bowiem na mnóstwo oglądów pojedyńczych, zupełnie z sobą niepowiązanych (jest to jakby ruch taśmy filmowej, kojarzący szereg osobnych obrazków w jeden obraz ciągły). Dzięki wyobraźni odtwórczej podmiot tworzący jest w stanie czerpać tworzywo estetyczne z samego siebie, bez konieczności ustawicznego uciekania się do rzeczywistych oglądów zmysłowych.

Jerzy Braun.

Veritas vincit

Są rzeczy, o których mówić nigdy nie jest za często. Do nich należy przeświadczenie o żywotności prawdy, niezrównanie pięknie wypowiedziane przez Krasińskiego: „Każda myśl w Bogu poczęta, z wieczności w czas i przestrzeń zesłana, jako cząsteczka prawdy, jako córka Boża, to samo cierpieć musi, co przecierpiał Bóg - Syn wcielony. Objawi się śród ludzi, — opowie niebo część — i męczy się i Krzyż swój nosi i grób swój ma i zmartwychwstaje, ażeby siąść na ołtarzu i panować wiecznie".

Wiedzą o tem wszyscy reformatorowie.— Kopernik, pisząc swoje „De revolutionibus orbium coelestium", czuł się zmuszonym powołać się na swoich poprzedników lub raczej doszukiwać się ich by nie przerażać współczesników nowością swej hypotezy. Kepler, nazywany przez niektórych prawodawcą niebios, ogłaszając swe największe odkrycie, dręczony był smutnem przeczuciem: „Piszę tę książkę na los szczęścia; mniejsza o to, czy ją czytać będzie dzisiejsze, czy przyszłe pokolenie; może ona nawet czekać chociażby setkę lat, jeżeli samemu Panu Bogu podobało się oczekiwać sześć tysięcy lat, nim jego dzieło zostało zrozumiane". — Los był łaskawszy, niż sądzili oni: Kopernika zrozumiał Kepler, Keplera — Newton.

Lecz może w dziejach ludzkości nie było doktryny, na którejby zaciążył tak tragiczny los, jak nad mesjanizmem czyli filozofją absolutną Hoene - Wrońskiego. Wielki oświeciciel ludzkości, filozof i matematyk, odkrywca absolutu, sprowadzający całą wiedzę ludzką ku jednej zasadzie, — Prawu Stworzenia, — umiera w nędzy, nieuznany. Zapatrzony w przyszłość, rozważający dzieje ludzkości z punktu widzenia celów ostatecznych, nie był rozumiany przez tych, którzy byli pogrążeni w doczesności*). Dopiero teraz zaczynamy rozumieć (jeżeli zostawimy na uboczu nieliczne dawniejsze głosy), co otrzymaliśmy w spadku po Hoene - Wrońskim.

Dziś, gdy mówi się ogólnie o kryzysie powszechnym, którego tajemniczy charakter zaznaczono dodatkiem *meta*- (metakryzys), a o którym tak głośno a zarazem powierzchownie rozwodzi się Spengler, przypomniano sobie, że o zbliżającym się kryzysie cywilizacji europejskiej mówił Hoene - Wroński już przed stu laty i dał jego zarys ze ścisłością historjozofa, główne źródło upatrując w nowoczesnej umysłowości, nie mogącej przejść od celów względnych ku celom absolutnym. — Upadek Austrji, Prus, możliwość oraz sam sposób zaszczepienia bolszewizmu w Rosji, wskrzeszenie Polski i kierunek polityki, jaką winna obrać, jej przodownictwo w Słowiańszczyźnie — wszystko to przewidział Wroński. Był zwiastunem Ligi Narodów (Związku Państw), lecz podana przez niego koncepcja odbiegała od dyletanckiej kreacji faktycznych jej realizatorów, przez co nastąpił upadek tej instytucji, przewidywany przed laty przez tych, co znali koncepcje Wrońskiego. Zasady naukowej organizacji pracy, niewystarczalność istniejących poglądów ekonomicznych, która jednego z naszych ekonomistów doprowadziła do szukania wyjścia w „mesjanizmie ekonomicznym", znajdują się w zarysie w dynamicznym systemacie ekonomji społecznej. Masonizm, któremu walkę wypowiedzieli Mussolini i Hitler, a świeżo mężowie czołowi we Francji, który zaś wszelkiemi sposobami starał się szkodzić Wrońskiemu, miał oddawna w nim nieprzejednanego przeciwnika, uważającego tajne towarzystwa i ich kierowników za wrogów prawdy i ludzkości, i zwalczającego masonizm zapomocą mesjanizmu. — Czołgi, które tak wybitnie przyczyniły się do ostatecznego skruszenia potęgi militarnej Niemiec, a znalazły później zastosowanie przemysłowe w konstrukcji traktorów, wynalezione były przez Wrońskiego, lecz ówczesne zabiegi wynalazcy i jego ucznia Bukatego w kierunku zrealizowania projektu nic miały powodzenia. Poglądy pedagogiczne i muzykologiczne już doczekały się uznania. — Nawet Prawo Najwyższe Algorytmji, pozwalające przedstawić wszelką funkcję matematyczną zapomocą szeregu postępującego według dowolnie przyjętych funkcyj tworzących, które to prawo przerażało swą ogólnością genjalnego Lagrange'a, stało się przedmiotem rozważań rosyjskiego matematyka Adamowa. Mechanika niebios Hoene - Wrońskiego znalazła badaczy i kontynuatorów w osobach Y. Villarceau, F. Villareal'a i G. Garcia.

Świeżo przybyła praca, rzucająca nowe światło na podaną przez Wrońskiego zgórą przed stu laty teorję cieczy: Ksawery Jankowski, astronom - geodeta, znany ze swych prac lepiej zagranicą, niż w Polsce, ogłosił pracę: „Dislocations des masses de la Terre" (Skład główny u Gebethnera i Wolffa w Warszawie i Paryżu), gdzie na str. 94 — 98 wyprowadza wskazany przez Wrońskiego warunek równowagi statycznej masy ciekłej. Ze względu na ważność tego zagadnienia pozwolimy sobie w krótkości przypomnieć historję doniosłej tej zdobyczy naukowej (obszerniej może ją poznać czytelnik w „Prolegomenach" Wrońskiego, t. II, str. 72 — 90 polsk. przekładu). W r. 1821 złożył Wroński w Londyńskiem Towarzystwie Królewskiem dwie rozprawy: w jednej wykazał błędność powszechnie uznawanej teorji budowy Ziemi (t. zn. błędność elipsoid — jednorodnej Newton'a, centralnej Huyghens'a i średniej Clairaut'a), w drugiej, stanowiącej załącznik do pierwszej, wykazał niedostateczność teorji cieczy, będącą źródłem błędnej koncepcji trzech wspomnianych elipsoid, i uzupełnił znane w hydromechanice dwa prawa swemi nowemi pięciu prawami. Brak wiedzy naukowej komisarza, któremu T-wo Królewskie zleciło ocenę rozprawy Wrońskiego, był przyczyną tego, że pomysł nie został zrozumiany i nie znalazł uznania.

Zrozpaczony takim obrotem sprawy, Wroński w liście swym do sir Humphry Davy, prezesa Towarzystwa Królewskiego, pisze: „Takie są, Panie Prezesie, siedem praw podstawowych prawdziwej teorji cieszy, które zdaję tutaj na całkowitą odpowiedzialność Towarzystwa Królewskiego. Prawa te, będąc czysto matematycznemi, są nieomylne, i nic na świecie, a tem mniej żadna potęga ludzka nie może ich zmienić. — Towarzystwo Królewskie nie będzie istniało, Imperjum brytyjskie zmiesza swe prochy z prochami Grecji i Rzymu, Ziemia sama przestanie wypełniać przestrzenie jakie przebiega, a siedem praw tych będą jeszcze rządziły i będą zawsze rządziły zjawiskami fizycznemi wszechświata". Nawoływanie to nie odniosło skutku w Anglji, a sens równań Wrońskiego doczekał się wyjaśnienia dopiero w ojczyźnie ich autora aż po 113 latach!

K. Jankowski przy interpretacji omawianych równań Wrońskiego zaznacza, że „nie należy ogólno - grawitacyjnej równowagi cząstek ciała utożsamiać ze statyczną równowagą ciała,... (która) uwarunkowana jest tem, że 1) siła powinna działać wzdłuż normalnej do powierzchni ekwipotencjalnej, 2) maksymalna zmiana natężenia siły winna się odbywać w kierunku działania siły tej, t. j. również wzdłuż normalnej". Pożądane jest, by autor podał wykład tych równań w sposób dydaktyczny, niezależnie od swych specjalnych rozważań, przez co wzbogaciłby podręczniki hydromechaniki.

Tak jest z wynikami nauki Hoene-Wrońskiego w odniesieniu do każdej dziedziny wiedzy. Mamy przeto śmiałość powtórzyć nasze *ceterum censeo:* trzeba odtworzyć i przetworzyć jego doktrynę, wówczas nastąpi cudowna przemiana całego życia, bowiem „w słowach prawdy ukryta jest potęga *cudu*".

Paulin Chomicz.

---

*)Tragizm mędrca odtworzyli w swych poematach Czesław Jastrzębiec - Kozłowski („Lwowskie Wiadomości muzyczne i literackie", z dn. 1 maja 1928 r.), i Jerzy Braun („Epitaphium", odbitka z „Zet").

Książki i czasopisma

Piotr Łastówka: Bezsenne noce. Powieść Warszawa 1934. Str. 117.

Hoene-Wroński: Propedeutyka Mesjaniczna. Część pierwsza. Przełożył Czesław Jastrzębiec Kozłowski. Prace Towarzystwa Hoene-Wrońskiego. Warszawa 1934. Skł. gł. Dom Książki Polskiej. Str. 47 i 3 nl.

Gizela Reicher-Thonowa: Ironja Juljusza Słowackiego w świetle badań estetyczno - porównawczych. Rozprawy Wydziału filozoficznego T. LXIII, Nr. 4, Kraków 1933. Nakł. Polskiej Akademji Umiejętności. Skł. gł. Gebethner i Wolff. Str. 216.

St. Jerzy Agatstein: Filozofja religji Haralda Höffdinga. Odbitka z XXXIV rocznika Przeglądu Filozoficznego. Warszawa 1933. Str. 25.

Kamienica Baryczków w Warszawie. Warszawa 1934. Wydano z okazji dwudziestopięciolecia Towarzystwa Opieki nad zabytkami przeszłości. Str. 7 i 2 ilustracje.

Biuletyn Polsko - Ukraiński (Nr. 19) Zygmunt Mazur: Poezja Iwana Franki; Jan Lipowiecki: Strach przed interwencją; Kronika — Na marginesie.

Stanisław Jerzy Lec: Barwy. Poezje. Lwów 1933. Nakładem Księgarni Nowości. Str. 22.

Ludwik Świeżawski: Miasto bez ojczyzny. Nowele. Warszawa 1934. Wydawnictwo Młodej Prozy. Str. 93.

Bronisław Dobrowiest: Zagadnienie żydowskie. Kraków 1934. Skł. gł. Księgarnia Krakowska. Str. 58.

Polonista (r. IV, z. I i II) Dr. W. Szyszkowski: Ogólne podstawy programu języka polskiego w gimnazjum; A. Litwin: Nauczanie języka polskiego w kl. I-ej szkoły powszechnej na podstawie nowego programu; J. Fitowska-Przybyłowa: Ćwiczenia słownikowe w gimnazjach nowego typu; dr. G. Reicher-Thonowa: Jak rozpoczęłam pracę w kl. I gimnazjum nowego typu? Sprawozdania i oceny; A. Kopczewska: Przegląd literatury dla dzieci; St. Rudniański: Technologja pracy umysłowej *(H. Schipper);* J. Birkenmajer: Starożytność klasyczna — dla młodzieży; Recenzje i sprawozdania.

Biuletyn Polsko - Ukraiński (Nr. 20) Włodz. Bączkowski: „Czy Zachód?"; O ukraińskiej literaturze dla dzieci; M. Kowalowskyj: O Buncie Młodych" i mirażu kijowskim; Kronika.

Wśród nowych książek

Monografję Gustawa Flauberta wydał znany francuski krytyk, biograf Mozarta i Wagnera, René Dumesnil. Autor wydał pierwsze swe studjum o Flaubercie już w r. 1905. („Gustave Flaubert" — Paryż — Desclée de Brouwer).

Tragedje Sofoklesa ukazały się w nowym przekładzie na język francuski. Tytuł: „Théâtre de Sophocle. Traduction nouvelle avec introduction et notes par Robert Piguarre" (Paryż — Garnier).

Rozważania pt. „Le genie de Paul Claudel" wydał w Paryżu (Desclée de Brouwer) J. Madaule. Autor zajmuje się zarówno w swej książce naświetleniem zagadnień czysto estetycznych, jak i problemów religijnych, które były zawsze centrum zainteresowań słynnego francuskiego poety.

Wyczerpujące studjum o gnostycyzmie ogłosił prof. filozofji na uniwersytecie jenajskim, Hans Leisegang. Ta 400 - stronicowa praca obejmuje w przejrzystym skrócie całą współczesną wiedzę o tym przedmiocie. Tytuł: „Die Gnozis". Wydano u Krönera w Lipsku.

Edward Herriot wydał u Hachette'a w Paryżu książkę pt. „D'Orient" obrazującą jego podróż do Rosji i na Bałkan.

Sowiety wydają 6-tomowe „wyznanie wiary" w zakresie estetyki pt. „Sztuka i literatura w marksowsko - leninowskiem oświetleniu" (Moskwa — „Mir")). Wydany obecnie tom 1-szy rozpoczyna się listem Stalina do wydawców tego dzieła, zawierającym szereg teoretycznych rozważań o znaczeniu sztuki, oraz fragmenty z pism teoretyków marksizmu, odnoszące się do zagadnień estetycznych.

Listy Ryszarda Wagnera do Hansa Richtera, który był wiernym towarzyszem i współpracownikiem wielkiego muzyka, — ukazały się we Wiedniu, w opracowaniu Ludwika Karpatha (P. Zsolnay). Wybór ten ukazał się już raz w tem opracowaniu przed 10-ciu laty. Obecne wydanie przeznaczone jest dla szerszych kół czytelniczych.

Dwa nowe studja nad literaturą starofrancuską ukazały się w Paryżu. E. Faral zajmuje się analizą „Pieśni o Rolandzie" („La Chanson de Roland. Etude et analyse" — Melatté). M. B. Fox wydał zaś pracę pt. „La morte de Roi Artus. Etude sur les manuscrits. Les sources et la composition de l'oeuvre" (Boccard — Paryż).

Monografję o Marji Teresie wydała w języku włoskim Anna Franchi pt. „Maria Teresa d'Austria" (Ceschina — Milano).

W wydawnictwie „Bibliotheca di Historia" w Medjolanie ukazała się obszerna książka, pióra S. Ferri'ego, poświęcona sztuce starorzymskiej. Tytuł pracy: „Arte romana sul Danubio. Considerazioni sullo sviluppo, sulle derivazioni e sui caratteri dell'arte provinciale romana". Piękną tą prace uzupełnia około 600 ilustracyj.

Bardzo ciekawą pracę o Szopenie, jedną z najlepszych w języku włoskim, wydał we Florencji Giovanni Mariotti („Chopin"— Firenze - Rinascimento del Libro). Autor rozpoczyna swą książkę obszernym szkicem historji Polski w wieku XVIII, przechodząc następnie do opisu życia w ówczesnej Warszawie. Na tem tle rysuje dopiero młodość Szopena. Książka, dająca chronologiczny opis kolei życia wielkiego muzyka jest napisana z wielkim talentem literackim i wielką wnikliwością psychologiczną.

Konni czwartacy

Porządkując zeszłoroczne „wyspiańskiana", trafiłem na artykuł p. K. W. Zawodzińskiego *„Na marginesie jubileuszu Wyspiańskiego"* („Droga", Nr. 9). Jest tam ustęp o Warszawiance: przyszło mi na myśl skonfrontować go z tekstem Warszawianki. I o tem słów kilka. Ale cały artykuł jest interesujący i nie stracił na aktualności. Oto jego główne punkty:

1) W jubileuszowej literaturze o W-im uderza p. Zawodzińskiego jednomyślność uznania. Wydaje mu się podejrzaną. Zastanawia go, że dotychczasowe pokolenia (czy to nie te, które osądził Wyspiański?) „wstrzymały się od wydania sądu o nim", że „nie zdobyły się na przewartościowanie go z punktu widzenia dzisiejszego człowieka". Najprzykrzejszem jest, że Boy, gdy o W-go idzie — tkwi w jakichś głupich sentymentach, pozostaje „pod całkowitą suggestją wspomnień młodości". Sprawa z punktu widzenia niezasuggestjonowanego „dzisiejszego człowieka", przedstawia się jak następuje:

2) Jako artysta słowa, W-i — nie istnieje. Poetą — w znaczeniu werbalnego sztukmistrza — nie był; zostawił ledwo „kilka udatnych liryków i ustępów lirycznych". 3) Jako dramaturg „został przechwalony potwornie" a opinja Weyssenhoffa: surrogat pantomimiczny twórczości literackiej" i t. d. — opinja na „intuicyjnie słusznem odczuciu walorów poezji oparta" — pozostała nieobalona. 4) Jako myśliciel i „nauczyciel", jest jednym i drugim tak mało, że myśli jego *ustalić niepodobna* — przykładem Wesele „tak wieloznaczne, że aż nic nie znaczące" — i że jego wpływ ograniczył się do cytat z dzieł, bez związku z resztą tekstu, i do frazeologicznego użycia symbolów. 5) Jako „synkretyka" scharakteryzował go najlepiej „towarzysz młodości" (ten sam zawsze, poczciwy). „W-i pisał jako malarz", mówi p. Mehoffer a „daje do zrozumienia, że i malował jako pisarz". Teatr W-go jest dla p. Zawodzińskiego, „pomieszaniem rodzajów literackich" i „miszkulancją stylów". Ale „jego rola w teatrze krakowskim i szerzej — polskim, zostanie historyczna: był to jakby Leon Schiller swojej epoki, inscenizujący według własnego scenarjusza". Tylko porozumiejmy się. „Ubogie i nieznaczące pomysły sceniczne", „ciężkie machiny allegoryczne", „inscenizacje przychodzące na ratunek lichemu tekstowi"? Tak, ale — „czasami" — „wspaniałe feerje", w których zręczni inscenizatorzy odkrywają „nieprzeczuwane przez autora możliwości".

(Istnieje drobiazg Wyspiańskiego p. t. „Ze sztuki — śmieci": Jakiś krytyk po powrocie z wystawy notuje szczerze wrażenie, jakie odczuł w chwili, gdy stanął przed obrazami. Jest olśniony jego monumentalnością: „Stoję — — — i *Nic*", zapisuje). Zanotowawszy to „nic", p. Zawodziński stara się i jakieś „coś" znaleść i znajduje je, na dobrej drodze: 6) w „Muzyce W-go". Ponieważ jednak idzie mu o to samo, co wszystkim, którzy załatwiają tego rodzaju robotę t. j. o wyperswadowanie Polakom, że mogą przestać myśleć zupełnie — uwagi p. Borowego o muzycznym elemencie w W-go dramatach, służą mu tylko do sprowadzenia ich znaczenia do „nierozkładalnych logicznie emocji", do „nieokreślonych bezprzedmiotowych nastrojów". (Czego oni u djabła tak się boją tej myśli?!). Lekceważący termin „libretto" przygotowuje konkluzje i 7) „Essencja liryczna W-go" — „oszczędźmy pamięci twórcy analizy pozostałych libret" — okazuje się zaprzeczeniem wszelkiej racjonalnej logiki i sensu; sprowadza się do jakiejś na dnie „splątanej tkanjny assocjacyjnej postaci i imion", brzdąkającej muzyczki. („Coś" znalazło się tylko po to, ażeby lepiej „nic" uwydatnić).

W niej zręczny jest ustęp o Warszawiance: „Cała aktywność artystyczna i emocjonalna utworu opiera się na momentach „postronnych", nie wypływających z twórczego wysiłku autora: wprowadzenie na scenę jako tematu zagadnienia klęski z 1831 r., tego centralnego punktu naszych dziejów porozbiorowych i użycie jako ilustracji muzycznej czy lejtmotywu pięknej, a podówczas zapomnianej pieśni epoki, pieśni, której odkrycie jest niewątpliwą zasługą W-go; wreszcie pantomina zakończenia[1]), genjalnie oddana gierką Solskiego. Dwa ostatnie z tych momentów zdradzają w W-im znakomitego inscenizatora... Ale potworne nudne i mętne tyrady Chłopickiego sfałszowanego już tem gadulstwem, poza całem przeciwnem rzeczywistości historycznej ujęciem postaci...; ale banalne zarazem i fałszywe myśli o 1831 r., cała „ideologiczna" strona utworu, ujawniająca śmiałość niekompetencji i zadawalanie się „przybliżeniem" (czego symbolem w zakresie wierności historycznej mogą być przeciągający pod oknami *konno* „czwartacy"); ale niedołęstwo kompozycji zatopionej w werbaliźmie, brak akcji, zastąpionej przez maeterlinckowskie napięcie przeczuć (tylko bez suggestywnej siły i celowo zwartej ekspresji belgijskiego mistrza) — wszystko to degraduje dramat do poziomu przypadkowego sukcesu".

Dla amatorów rodzimej tartufferji, zdańko o zasłudze, jaką było „odkrycie" (w każdym „Wieńcu pieśni polskich" figurującej) pieśni Kurpińskiego — jest nieprzepłacalne! Ale jest i to drugie — jedyne w całym artykule, które nie jest subjektywnym osądem lub insynuacją, ale odnosi się do objektywnie sprawdzalnego faktu. Nie będę p. Zawodzińskiego pouczał, czem były *wiadomości* Wyspiańskiego. Może się o tem poinformować u specjalistów, którzy choć ani w części nie wyczerpali przedmiotu — sprawę załatwili oddawna. Gdyby więc nawet w Warszawiance, Wyspiański— przedstawiając Annę wybiegającą, by zobaczyć przeciągających za oknem „czwartaków" — nie zaznaczył, że idzie tu o piechotę, jeszcze z tego konkluzje o dokładności jego historycznej dokumentacji — wyciągnąć by tylko mogli sztubacy. Tymczasem tekst mówi coś wręcz przeciwnego. Mówi, że Wyspiański nie zapomina — jakich mieć może czytelników. Nie posiadam pierwszego wydania — i być może, że ten szczegół, właśnie ze względu na tę kategorję rodaków, został wprowadzony dopiero później, — ale oto jak to się przedstawia w 5-em wydaniu:

MŁODY OFICER

(przytula Annę do siebie, okręca, trzymając w pół; sadza na krześle i wybiega; a jeszcze we drzwiach zawoła, wskazując okno):

Pułk czwarty, Anno!

ANNA (która się zerwała natychmiast)

Cwartacy! chcę widzieć...

(wybiega za nim)

(trąba odmarszu odzywa się kilka razy mocno w różnych odległościach z gościńca. Za oknami przejeżdża i przechodzi wojsko w szyku; widać ich do pół na koniach, końskie łby i tentent nieustanny i stukanie i brzęk słychać).

Widownia widzi tylko przejeżdżającą za oknami konnicę; z wnętrza dworku dostrzegać można i piechotę, stąd młody oficer widzi i wskazuje przez okno „czwartaków"; by ich widzieć dokładnie, trzeba wybiegnąć — i tak czyni Anna. Scenarjusz najpierw reasumuje sytuację: „za oknami przejeżdża i *przechodzi* wojsko"; poczem opisuje to, co widzi publiczność. Wyspiański — jak zawsze — wie, co mówi, i widzi, co przedstawia, a w teatrze wie, co i skąd jest widziane.

„Konni czwartacy" p. Zawodzińskiego są *symbolem*, ale tej Nocy, za której nadejściem tak mu spieszno, żeby wszystkie światła zagasły. Muzyczka to jest ta sama, co muzyczka chochoła [2]).

A. Ł. C.

---

[1]) Autor artykułu „Drogi" równie mało pamięta Warszawiankę z lektury, jak z teatru: scena pojawienia się starego Wiarusa — kreacja na lat tyle przed wojną koncepcji „Nieznanego żołnierza" — nie jest zakończeniem, jest *centralną* sceną utworu.

[2]) Pan Z. cytuje Weyssenhoffa: „W-i nie osacza myśli idealnie dobremi słowami, lecz myśl jaka mu przyjdzie, rozcieńcza w dźwiękach... Więc jakże: laska błazeńska, wiosło, kaduceusz czy laska kaducza?" Tylko w Polsce bogactwo inwencji staje się może zarzutem tam, gdzie każdy z obrazów jest umotywowany logicznie i prawdziwy już wtedy, coraz ciekawsze otwiera perspektywy.... Ponieważ pomimo nauczki danej Weyssenhoffowi przez Matuszewskiego, p. Z. odgrzewa znów te androny, mogę mu podać kilka znaczeń tych słów i obrazów, które się wzajemnie uzupełniają i *znaczą to samo.* 1) Laska błazeńska = laska błazna, Stańczyka: R. Starzewskiego w r. 1901 a dziś tego, który jest jego tworem duchowym i następcą (i właścicielem rękopisu tej sceny). 2) Wiosło = to, którem „błądzący w odmętów powodzi" wiosłuje, kadz narodową mąci, truje serce i głowę traci. 3) Laska kaducza = którą dał Djabeł, by w zatracenie prowadzić; godło tego, kto stanie na czele Wesela. 4) Kaduceusz = laska Hermesa, gońca Fatum i Śmierci. I t. d. Dobrze będzie to przemyśleć — i trochę poczekać. Ale widać, że posiadacz laseczki może sobie przynajmniej na tyle pańskości pozwolić, by się robotą nie babrać, którą się łatwo ośmieszyć. Amatorów i tak, jak stwierdza artykuł „Drogi", nie braknie.

Kronika poznańska

W bieżącym sezonie Poznań oglądał dużo wystaw malarskich i graficznych. Z ostatnich zanotować trzeba wystawę zbiorową Taranczewskiego i drzeworytów Kluski w „Inst. Krzew. Sztuki", oraz ciekawą Wystawę Sztuki Belgijskiej tudzież wystawę sztuki religijnej, zorganizowaną przez grupę „Plastyka".

*

Niezwykłem zainteresowaniem cieszył się konkurs na nowelę, ogłoszony przez „Tęczę". Nadesłano bezmała 1500 nowel, co jest ewenementem dość niezwykłym i chyba rekordem w tego rodzaju konkursach. Wyniki wysunęły kilka nazwisk: 1) Helena Krumpel,) dr. Janina Budkowska, 3) dr. Wanda Brzeska, 4) Jan Ulatowski, 5) Jadwiga Korczakowska.

*

Z książek wydanych przez Poznańczyków na uwagę zasługuje broszura Karola Stojanowskiego „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie", oraz tom poezyj „Brzemię niebieskie" (wyd. Mortkowicz) jednego z najzdolniejszych poetów poznańskich, Wojciecha Bąka.

*

Młodzi poznańscy poeci, zgrupowani około „Promu", zorganizowali dnia 2 marca tradycyjny konkurs poetycki przy głosowaniu publiczności. Pierwszą nagrodę otrzymał Hieronim Michalski.

*

Niedawno odbył się żywy dziennik „Zrębu", na którym między innemi przeczytał Stefan Balicki feljeton a Wojciech Bąk wygłosił kilka wierszy z wydanego tomu.

*

„Prom", najruchliwsza poznańska grupa poetycka, miał 21 kwietnia w Radjo Poznańskiem swój wieczór poetycki, poprzedzony słowem wstępnem Jana Ulatowskiego. Recytowane były wiersze Haliny Brodowskiej, Eug. Morskiego, Allana Kosko i W. J. Kapuścińskiego.

*

Gościła obecnie w Poznaniu głośna trupa teatralna The English Players, która dała trzy przedstawienia w języku angielskim. W repertuarze były sztuki Shawa Armstronga i Shairpa.

REDAKCJA: (tymczasowo) Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ", Warszawa, Solec 87.